

Duży zalew

WYZNANIA SZCZEREGO
ENTUZJASTY TEATRU

PAWEŁ GŁOWACKI

Jak prędko woda robi się nudna? Ach, cóż za pytanie! Jaki dylemat! Na przykład: chcesz się wykazać, przed powrotem żony z pracy podłogę w kuchni myjesz, kot zdumiony na parapecie, ty na czworakach, nagle puk i chlup, bo niechący kolaniem w wiadro. Podnosisz się i tysięczny raz pojmujesz sekret starego cudu Jezusa – siedł dzielnie, bez lęku, gdyż płytko było. Trzeba umieć wybierać jeziora. Tak krzyczysz, rzucając szmatą. Ciąg dalszy – oczywisty. Wyjście, piwo razy pięć, powrót. I co? I nawet nie zauważasz, że w pięć minut ścierasza „wsjo”. Pięć minut? Piękny wynik – nuda się w nim nie mieści. W przedstawieniu „Udając ofiarę” woda męczy scenę przez godzinę i czterdzieści pięć minut, jeśli dobrze liczę. Tyle trwa brodzik, którego nie da się nie zauważyć.

Przebrani za majtków floty czarnomorskiej techniczni wciąż na scenę wypychają, bądź z niej wypychają, by tak rzec mądrze, mansjony. Wypychają? Wypychają? Wygląda to tak, jakby holowali na proscenium i z proscenium odholowywali barki z dekoracjami. Światło się powtarza w wodzie sięgającej ruskim Jezusom do kostek. Może właśnie o to chodzi? O faliste powtórzenia? O migotanie taflí? O tajemniczy miraż wodnego zwierciadła? O przedrzeźnianie aktorów przez ciecz? O nastrój oniryczny? O sugerowanie przy pomocy sztucznego jeziora frazy godnej wieszczki: „Ciemno wszędzie... Mokro wszędzie... Co to będzie?... Co to będzie?...”. Zapewne o wszystko to naraz. Mówiąc krótko: „Słuchaj, dziewczeczko... Ona nie słucha... Czy ją szlag trafił?... Czy połknęła toń głucha?...”.

Takie dociekania rodzą się po kwadransie. Woda na scenie trwa sobie w najlepsze, ale prędko jej, powiedzmy sobie, metafizyczność obraca się w chlupiącą jałowość. Szkoda. Szkoda, gdyż to, co się nad taflą dzieje – mało ma wspólnego z wodą. Braci Presniakówów igraszka sceniczna o sednie życia, czyli o permanentnym udawaniu – w sumie porządnie jest grana. W farsowym stylu. Momentami nawet w stylu tęskniącym za dell'arte. Stary ten gatunek teatralnej sztuki jest, jak wiadomo, z Wenecją związany – może więc reżyser komedii „Uda-

jąc ofiarę”, Andrzej Bubień, wodę na scenę wprowadził jako ukłon dla tradycji? Zostawmy to.

Udawanie więc. Gra ludzi z ludźmi w udawanie. Wszystkiego. Namietności, obojętności, czułości, wściekłości, delikatności, całej reszty, zwanej życiem. Sztuczne dni, noce z papier mâché. Małpiarstwo, przedrzeźnianie, parodiowanie. Maski. Maski nieustające. Na gestach, na słowach, na milczeniu. Zamiast oddychania – skuteczne udawanie oddychania. Zamiast przeznaczenia – falsyfikat przeznaczenia. Nie los, a odbicie losu na pomarszczonym jeziorze. I tylko ból czasem, niestety, nie udawany. No i śmierć nie do podrobienia. Ale to później, na końcu – „paka szto” nie ma się czym martwić. Trzeba grać. Igrać.

Grają więc. Kapitan (Zbigniew Kosowski) – że śledztwa prowadzi. Sierżant (Jacek Wojciechowski) – że asystuje Kapitanowi. Liuda (Dominika Markuszewska) – że filmuje wizje lokalne. Kobieta w kimonie (Marta Bizon) udaje gejszę. Jeden udaje, że pływa (Tadeusz Łomnicki). Drugi udaje, że mu na czymś zależy (Jacek Joniec). Ta udaje dawno zmarłą matkę głównego bohatera (Maja Barełkowska), zwanego Walą (Piotr Franasowicz), ten (Andrzej Franczyk) udaje ducha ojca Wali, a jeszcze jedna (Iwona Sitkowska) – miłość jego życia. Sam Wala zarabia na życie grając trupy w reżyserowanych przez Kapitana wizjach lokalnych. Kosowski coś takiego mówi w środku przedstawienia: „Wszyscy wszystkich w ch... robią bez przerwy i na każdym poziomie”. Nic głębszego o sztuce Presniakówów nie wymyślę.

Przyzwoitość zatem, aktorska porządność z gatunku, powiedzmy jeszcze tak, „slapstikowego”. I gdyby nie ta woda na całej połaci... Czy reżyser ma pojęcie, jak bardzo – niestety, żeby nie skłamać, inaczej nie mogę tego ująć – upierdliwa jest ona? Z każdą minutą – coraz mocniej. Męczy człowieka akwen, ostro męczy. Chlupot przynudza cholernie. Pretensjonalna metafizyka płytkiej kałuży dławi tak intensywnie, że po kwadransie człowiek już nie uważa na aktorską przyzwoitość, tylko marzy o wodzie przez o z kreską.

Teatr Ludowy. Oleg i Władimir Presniakow „Udając ofiarę”. Reżyseria Andrzej Bubień. Scenografia Anita Bojarska. Muzyka Piotr Salaber.

Nad wodą wielką i czystą



"Udając ofiarę" to komedia, w której nie ma nic śmiesznego. Na deski Teatru Ludowego w Krakowie przeniesiony został spektakl braci Olega i Władimira Presniakowów, w reżyserii Andrzeja Bubienia, po raz kolejny udowadniający, że Rosja to kondycja człowieczeństwa, nie tylko miejsce geograficzne. "Izobrazajaja żertwu", nazywana przez krytykę "łobuzerską parafrazą Hamleta", to opowieść snująca narrację o filozofii imitacji. Stawiająca pytanie o możliwość substytucji, o podróbkę w wydaniu najważniejszym - bo egzystencjalnym.

W sztuce Shakespeare'a Marcellus zauważa gorzko: „Jest coś chorobliwego w państwie duńskim”. Wala (Piotr Franasowicz) to trzydziestoletni bohater wymyślony przez rosyjskich dramatopisarzy: z wykształcenia (starannego) filozof, dogłębnie zresztą cierpiący na tanatofobię. Przypadkowo i zupełnie powierzchownie jego strach nadaje tytuł całej historii – nieprzystosowany do realiów życia chłopak najmuje się jako statysta, grający trupy na potrzeby eksperymentów śledczych policji. Udając ofiarę jednak, trafia na trop sprawy o zasięgu globalnym – odkrywa, podobnie jak Hamlet w Danii, że Rosja jest więzieniem. Tak naprawdę jednak jego obserwacje swą totalnością przekraczają jakiekolwiek granice państwowotwórcze. Udawać albo nie udawać – oto jest pytanie.

Widzowie, podobnie jak aktorzy, od pierwszych już sekund przebywają nad wodą: wielką i czystą. Cała scena została zalana, artyści brodzą w coraz brudniejszej cieczy, strop sali zaś spowijają przepiękne, świetlne odbicia, które mają jeszcze moc zwodzenia bajkowością zjawiska. Ale woda nie znalazła się tam przez przypadek – to ona pierwsza w swojej refleksyjności, kopiowaniu obrazów rzeczywistości udaje. Jak Mickiewicz w Szwajcarii („Nad wodą wielką i czystą / Przebiegły czarne obłoki, / I woda tonią przejrzystą / Odbiła kształty ich marne”), tak odbiorca premierowej sztuki Teatru Ludowego staje oko w oko z realnością kłamstwa. Cóż bowiem w przedstawieniu dzieje się naprawdę? Ano – niewiele. Walę co jakiś czas odwiedza zmarły ojciec (Andrzej Franczyk), oskarżający o swą śmierć świeżą wdowę i własnego brata. Przyszła żona młodego filozofa – Olga (Iwona Sitkowska) pozoruje swoje do niego przywiązanie: w istocie siła ich związku leży w lenistwie, kobieta nie ma już sił na poznawanie kolejnej osoby „od nowa”. Policjanci, dla których pracuje Wala, nie są w ogóle zainteresowani wizją państwa prawa, poszukiwaniem opiewanej sprawiedliwości, każdy z nich ma swoje małe życie, swoje małe ambicje, nie aż takie znowu małe przywary.

Falsz wrasta także w szczegóły: zamiast chleba, na kolację można spożyć makaron (zwłaszcza, gdy nikomu nie chce się iść do piekarni), na basenie można spróbować wejść do wody w slipkach, jeśli zapomniało się kąpielówek, fanatyzm nazywać można miłością i oddaniem, zamiast literatury pięknej da się czytać książki o tym, jak stworzyć samego siebie... Apogeum absurdu komedia osiąga w nie-do-konca-japońskiej restauracji, gdzie kelnerka i jednocześnie kobieta po przejściach, a na pewno paru głębszych kieliszkach (Marta Bizoń) udaje Japonkę, by tym odróżnić się od konkurencji w branży gastronomii orientalnej

(gdzie obsługa kreuje się na samurajów). Co gorsze – ta strategia brzmi dość sensownie. I już jesteśmy w domu. To znaczy w Rosji, a właściwie w Polsce, to znaczy nigdzie, ale tak de facto wszędzie.

Prawdziwa jest jedynie ryba fugu – jej istotność podkreślają skrojone w jej kształt przepiękne lampy restauracyjne. Prawdziwa, bo nie pojawia się w sztuce inaczej niż tylko werbalnie – prawdziwa, bo w rzeczywistości toksyczna, jeśli źle przyrządzona. Prawdziwa, bo podobnie, jak Wala – żyje pod ręką ze śmiercią, aby żyć naprawdę.

Jest coś chorobliwie przejmującego w mechanizmie, jakie wymyślił sobie główny bohater na potrzeby trzymania w ryzach swojego panicznego lęku. By owoić nadchodzącą śmierć postanowił z wielkim natężeniem przypominać sobie o jej bliskości. Udając ofiarę w eksperymentach policyjnych, w swoim mniemaniu, niemal dotyka widma. Tymczasem – rekonstrukcje owe, przekłamane, upokarzające, wykrzywiające prawdę – wytwarzają kokon, retuszujący jakiegokolwiek prawdopodobieństwo. Jedyna rzecz, która w życiu Wali była autentyczna – śmierć jego ojca i ta przyszła, ale i pewna, jego własna – wyzwala w nim paranoiczny strach. Obroną przed nim staje się wyprodukowanie kłamstwa – kłamstwa, które dodatkowo dla siebie samego nawet należy zakamufłować. Powinno się proceder ten uprawiać z wielką skrupulatnością – w końcu wokół, jak okiem sięgnąć, płynie woda – a ona ma świadomość, co odbija.

Doskonałe rozwiązania scenograficzne (za scenografię odpowiada Anita Bojarska), wymagające znakomitego zorganizowania i współpracy zarówno na scenie, jak i w poza nią, wyważona opowieść, przeplatana soczystymi, humorystycznymi fragmentami mimo wszystko nie pozwalają zapomnieć o tekście dialogowym. Mimo wszystko, bo tekst jest miejscami przegadany. Może i nie było innego wyjścia – jak przekazać frapujące pytanie o imitację w teatrze, gdzie wszystko in status nascendi jest udawane? Może i nie było innego wyjścia, a może to też tylko pozór. Przedstawienie w reżyserii Andrzeja Bubienia stara się przekonać, że, aby zainicjować refleksję nad kategorią prawdy, trzeba sięgnąć (momentami) po dosłowność i moralitet. Że jeśli Wala ma być odkształcony, dobrowolnie się zniekształcający, zmiennokształtny w zależności od sytuacji, to ma być jednocześnie nijaki. Wychodziłoby zatem, że kłamstwo istotnie jest atrakcyjniejsze – przynajmniej estetycznie. Gubi się w tym wszystkim misternie budowany sens spektaklu – a przecież skoro o fizyce należy mówić z zastosowaniem terminów fizycznych, to o kłamstwie wypadałoby opowiedzieć eskalacją kłamstwa. Oczekiwałoby się postaw podobnych do hrabiny, co szmaragdy podbijała zieloną bibułą, by wydawały się prawdziwsze. W „Udając ofiarę” tego przerysowującego gestu zabrakło, wyolbrzymienie zastąpiono omówieniem. Czy sztuka na tym traci? Pewnie nie zyskuje, ale można ową dydaktyczność wybaczyć.

Scenę zalewa wielka woda. To jeden z tych niezwykłych elementów scenografii, które, już przez sam swój fakt istnienia, stają się wspólnym doświadczeniem dla całej publiczności, wytwarzają prywatno-publiczne doznanie intymne. I o tę grę poruszeń idzie, o tę indywidualną wiwisekcję własnego postępowania: „Na me dzieciństwo sielskie, anielskie, / Na moją młodość górną i durną, / Na mój wiek męski, wiek klęski; / Połały się łzy me czyste, rzęsiste” (A. Mickiewicz) - powtórzę: sceną zalewa wielka, krystaliczna woda... która odbija twarze nasze marne.

- Anna Gębala
- Dziennik Teatralny
- 24 maja 2011

POLSKA
Gazeta Krakowska

Kraków
31-05-2011
DZ. / Nr 125

Ruski Hamlet jest lekkoduchem

Łukasz Maciejewski

Twórczość braci Olega i Władimira Priesniakowych stała się w rosyjskiej dramaturgii antydium na mroczny, pozbawiony nadziei świat postsowieckiej „czarnuchy”, portretowany przez pokolenie tzw. brutalistów. W twórczości Presniakowych również bywa depresyjnie i ponuro, ale jest także zabawnie, strasznie i śmiesznie. Smutek spod znaku Dostojewskiego wspomaga gogolowski, przewrotny uśmiech.

„Udając ofiarę”, najgłośniejsza sztuka rosyjskich dramatopisarzy, doczekała się już kilkudziesięciu inscenizacji teatralnych oraz filmowej wersji w reżyserii Kirilla Sieriebrennikowa. Na Dużej Scenie Teatru Ludowego adaptację dramatu we własnym przekładzie wystawił reżyser Andrzej Bubiń.

„Udając ofiarę” to kolejna sceniczna wariacja na temat „Hamleta”. Pewnemu zblazowanemu młodzieńcowi (Piotr Franasowicz) w nie do końca wyjaśnionych okolicznościach ginie ojciec. Miejsce rodzica błyskawicznie zajmuje wujaszek Piotr (Andrzej Franczyk), Ofelia po przejściach to Olga (Iwona Sitkowska), a Gertruda (Maja Barełkowska) nie jest bynajmniej rosyjską mateczką z legendy, tylko podstarzałym wampem.

W tle pojawiają się morderstwa, namiętności i romanse. Wszystko jednak mocno sfatygowane, wymęczone i dziwnie beznamiętne. Ruski Hamlet niespecjalnie hamletyzuje. Jest raczej lekkoduchem i leniem. Pomieszkuje u mamy, sypia z dziewczyną, studiował filozofię, ale mu się znudziło. Chodzi w czapeczce z daszkiem i ma wszystko w nosie. Nawet ojciec ukazujący się we śnie wywołuje nie tyle bunt, co wytrąca na chwilę z wygodnej abnegackiej postawy. Wala nie szuka

zbrodniarza, tylko udaje ofiarę. W rozumieniu najbardziej dosłownym.

Podczas wizji lokalnych, w lekko paranoidalnych inscenizacjach zabójstw z udziałem rzeczywistych morderców, które rzekomo mogą pomóc milicji w rozszyfrowaniu rzeczywistego przebiegu kryminalnych zdarzeń, Wala gra rolę ofiary. Mordują go, wyrzucają przez okna, topią w basenie. A chłopiec tylko się uśmiecha. Bo w końcu tak naprawdę, ile razy można zginąć?

Niektórzy aktorzy „Ludowego”, przede wszystkim Beata Schimscheiner w zabawnym epizodzie „Basenowej” oraz Marta Bizoń jako ostrzegająca przed sushi z zakąską „kobieta w kimonie”, znakomicie odnaleźli się w komediowej konwencji. Pozostali mają jednak kłopot

Kilka udanych scen kontrastuje z ciężkimi dowci- pasami i mruga- niem oczkiem

z odpowiednim wyczuciem niesprecyzowanej, słodko-gorzkiej formy przedstawienia. Kilka udanych scen zagranych serio, z najważniejszą sekwencją zrewoltowanej tyrady kapitana milicji granego gościnnie przez Zbigniewa Kosowskiego, niknie na tle różnej maści dowcipasów, mrugnięć oczkiem i niezbyt trafionych rozwiązań scenograficznych, na czele ze sceną absurdalnie wypełnioną wodą. Chodziło o wódkę czy zakąskę?

Po Andrzeju Bubińcu, absolwencie Instytutu Teatralnego w Sankt Petersburgu i dyrektorsze artystycznym tamtejszego Teatru Satyry, a wcześniej toruńskiego Teatru im. Wilama Horzycy, można było spodziewać się czegoś więcej.